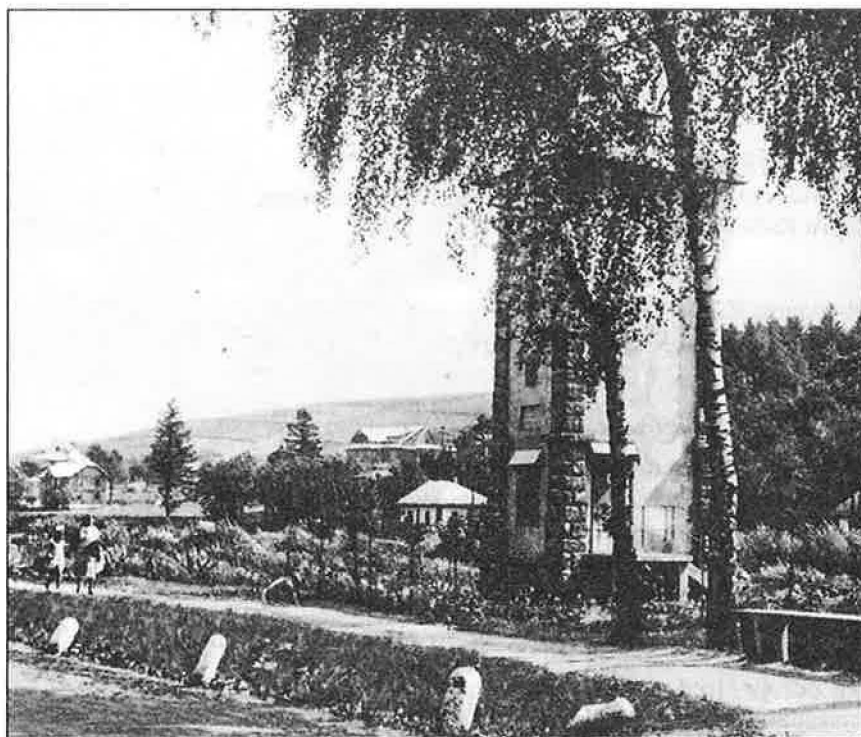


ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1998
TOM III

FOT-ART'94

Zbigniew Domostawski

O RYMANOWIE ZDROJU PO Z GÓRA 60 LATACH

Musiąły to być przeżycia mocne i stale żywe, skoro po przeszło 60 latach do nich się wraca oraz mimo tak dużego upływu czasu wydobywa się z pamięci niejeden szczegół.

Było to lato, dokładnie sierpień odległych już dziś lat – 1936 i 1937 na Lwowskiej Kolonii, której zabudowania już nie istnieją. A zabudowania były okazałe jak na owe czasy: Dwa duże piętrowe budynki: żeński i męski, usytuowane obok równie okazałej jadalni i administracji, przed którą stała malownicza Grota z figurą Matki Bożej. Dyskretnie zaś położona była na uboczu, tzw. infimieria dla dzieci chorych.

Do Rymanowa jechało się pociągiem z Dworca Głównego we Lwowie, wysiadało na stacji Rymanów, a stąd furmankami około 4 km do malowniczo położonego Rymanowa – Zdroju, położonego nad rzeką Tabor w otoczeniu zalesionych gór.

Dzieci lokowano zwykle w czterech dużych salach na parterze i piętrze, a wychowawcy, których wtedy nazywano „Ciotkami“ i „Wujkami“, spali razem z młodzieżą za parawanem, a swych podopiecznych nie spuszczały z oka od czasu przejęcia ich na peronie lwowskim od rodziców aż do czasu przekazania ich po powrocie z turnusu, który trwał wtedy pełne cztery tygodnie.

Warunki dla młodzieży były wymarzone, wypoczynek połączony obowiązkowo z piciem dwa razy dziennie jednej z trzech wód mineralnych, których dostarczały miejscowe źródła. Były to „Celestyna“, „Tytus“ i „Klaudia“. Jeśli zachodziła potrzeba to dzieci korzystały również z kąpiei mineralnych. Samych zaś kąpiei słonecznych czy w pobliskiej rzece Tabor było niewiele, gdyż często w owych latach padały deszcze, niebo było zachmurzone, często były mgły, a góry dymiły. Warunki zaś zamieszkiwania i pobytu, jak na owe czasy, wprawdzie nie były komfortowe, ale zupełnie przyzwoite, natomiast samo wyżywienie iście królewskie. Obok śniadania było obowiązkowe drugie śniadanie, dla niektórych trzecie, obfity obiad, po nim obowiązkowe leżenie, podwieczorek i kolacja.

Dzięki temu, że jeden z wychowawców (wujków) miał zdolności poetyckie a ułożone wiersze dobrał do

odpowiedniej melodii, to sam porządek dzienny i życie kolonii, tak dość mocno utrwaliły się w pamięci.

*„Rano wujko budzi ciebie,
A ty śpisz jak anioł w niebie.
Niech to licho trzaśnie
Przebudzony wrzaśnie.“*

Na mycie w dość przestrzennej umywalni pozostawało mało czasu, poprzedzone ono było krótką gimnastyką. Uroczystym rozpoczęciem dnia kolonijnego była wspólna modlitwa przed pięknie wkomponowaną w zieleń drzew figurą Matki Bożej oraz wciągnięcie sztandaru na maszt, zwykle po komendzie: „Sztandarowi oddaj cześć“. Następnie parami udawaliśmy się do pijalni wód mineralnych, pić jedną z wód mineralnych według przepisów pana doktora i wracaliśmy na śniadanie.

W częste w owych latach dni deszczowe pozostawaliśmy w jadalni, nie było tu żadnej drugiej rotacji. Ciotki i wujkowie zabawiali nas jak mogli opowiadaniem, śpiewem, nauczono nas wiele różnych pieśni, a pani gospodyni raczyła nas ciągle różnymi smakołykami, do których zaliczaliśmy smaczny chleb posmarowany bryndzą rymanowską – bądź gotowana kukurydza.

Nie tylko w niedzielę, ale czasami i w inne dni, szliśmy parami do kościółka zdrojowego. Szczególnie w niedzielę był on dostownie wybity letnikami. Ciekawość dzieci budziła sylwetka kapłana odprawiającego równocześnie Mszę św., nieco inaczej niż to było u nas – zwykle przy bocznym ołtarzu. Jak się okazało, odprawiał dodatkowo Mszę św. ks. Medweckij, administrator apostolski dla Łemkowszczyzny. Rezydował on w Rymanowie, a w gościnnym kościółku odprawiał. Nawiasem mówiąc, choćby z tego można wnosić, że problem Łemków był dostrzeżony, a koegzystencja była czymś normalnym, od wieków utrwalonym. Szkoda tylko, że wydarzenia drugiej wojny światowej tak wiele na tym odcinku zmieniły.

Wydarzeniami były wycieczki do pobliskiego Iwonicza, gdzie mogliśmy zobaczyć zabytkowe obiekty

zdrojowe i dłużej pozostać nad źródłem „Bełkotką“, z którego wydobywały się pary gazu ziemnego, który można było zapalić. Mogliśmy też przyjrzeć się kuracjom, dzieciom z bardziej może niż my, koloniści zasobnych domów – ale wcale im nie zazdrościliśmy, gdyż nasze wakacje były chyba bardziej urozmaicone.

Może poeta trochę przesadził skoro napisał:

*„Potem cała dzień wcinanie,
Stękać nie masz czasu panie,
Bez przerwy jeść dają,
Kila przybawają.“*

Istotnie „kila“ przybawają, szczególnie przy deszczowej aurze. Wszyscy się cieszyli, a szczególnie rodzice, gdy taki „szczurek“ wielkowiejski po czterech tygodniach pobytu w Rymanowie przywoził pięć, a czasem więcej kilogramów żywej wagi. Takie to były czasy i poglądy, podobnie jak niemal na każdym dworcu kolejowym reklamy „cukier krzepi“. Dziś zgodnie ze stanem współczesnej wiedzy dążylibyśmy do wagi należnej, a dla cukru bardziej odpowiedni byłby aforyzm „cukier tuczy“.

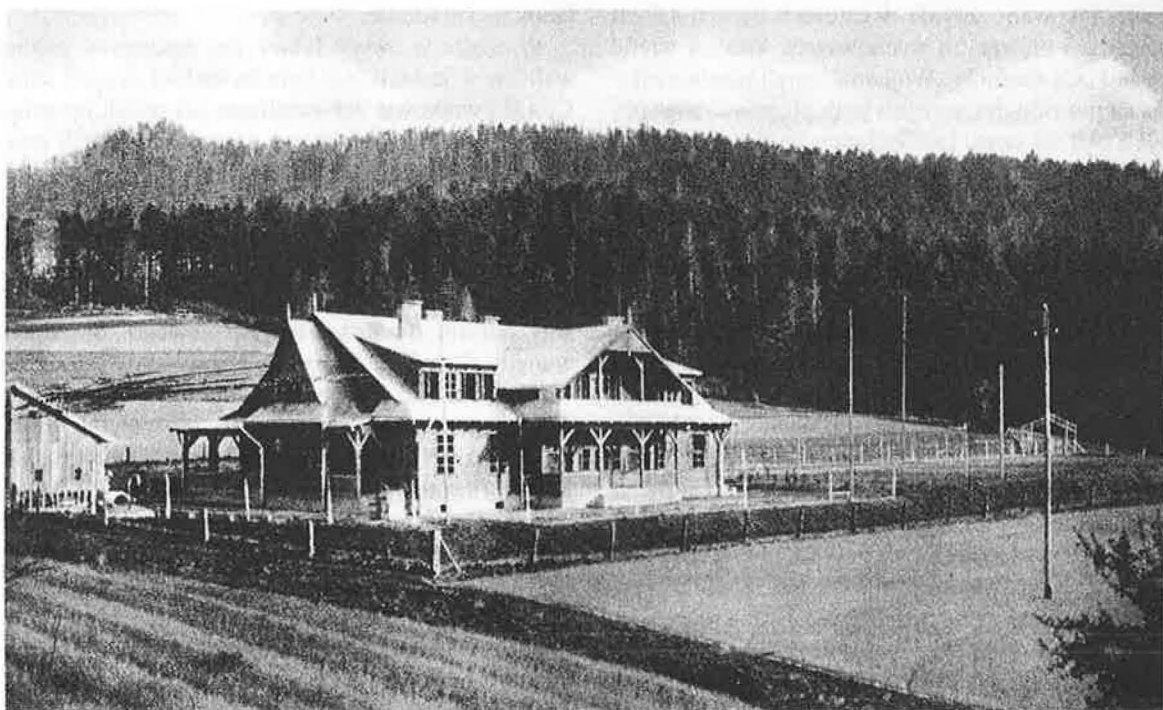
Bardzo uroczyste było obchodzone Święto Wniebowzięcia Matki Bożej (15 sierpnia). Po mszy św. z patriotycznym kazaniem zwykle koloniści dawali okolicznościowe przedstawienie, a jeden ze starszych kolegów świetnie grał rolę księdza Ignacego Skorupki, który poległ w obronie Warszawy w 1920 roku.

W połowie turnusu przyjeżdżała cała ekipa wizytacyjna ze Lwowa, może „groźna“ dla kierownictwa, ale dzieci czekały na nią z utęsknieniem. Był w niej niezwykle popularny we Lwowie dyrektor prywatnego gimnazjum pan Kistryn, który obdarowywał dziatwę znakomitymi cukierkami i słodyczami ze znanej firmy Ludwik Zaleski we Lwowie przy ul. Akademickiej. Nie wiem, na czyją to cześć śpiewała dziatwa piosenkę, powtarzaną zresztą co roku, czy na cześć pana Kistryna, czy też wysokiego, przystojnego pana Prezesa Sądu (nazwisko wyleciało mi już z pamięci), którego tytułowano Prezesem.

*„Witaj, witaj miły Panie,
Dzisiaj dziatwa z sercem
Wita Cię!
Za twe trudy i staranie,
Dzięki ci panie młodzież śle.
Zdrowie, siły odzyskała,
już jej nic nie grozi
żaden wróg.
Wdzięcznością płonie dziatwa cała,
Oby Ci szczęścił Dobry Bóg.“*

A więc młodzież się nie nudziła, czas szybko leciał, i jak konkludował poeta:

*„I tak płyną dni za dniami,
Na wóz siadaj z manatkami,*



RYMANÓW-ZDRÓJ. Kolonia Przemyska

*Bądź Kolonio zdrowa, bo
jedziem do Lwowa.
Bądź Kolonio zdrowa,
bo byłaś morowa.*

Na kolonii nie czuło się żadnej ekskluzywności, wszystkie dzieci i te lwowskie, i rzeszowskie, i ze Śląska były traktowane jednakowo i na ogół taktownie. A jeśli były jakieś incydenty, to raczej wesołe. Niektórzy wychowawcy (wujkowie) zwykle uczniowie klas wyższych ze szkół średnich, czy studenci uniwersytetu, na kolonię przyjeżdżali po letnich obozach przysposobienia wojskowego, które były obowiązkowe, szczególnie w szkołach średnich. I pewne nawyki kaprałszczyzny wyładowywali na dzieciach. Dokuczliwe było burzenie pościeli na łózkach, według ich oceny źle zasłanej. Delikwent wraca z pijalni i zastaje powywracane łózko.

Korespondencja mogła być wysłana tylko z pieczęcią kolonii, zwykle poczta wracała listy nie opieczętowane, co kończyło się solidną reprimendą.

Jak wspominałem, wyżywienie było wprost luksusowe, ale jeden ze starszych kolonistów napisał taką kartkę, którą poczta zwróciła: „Kochana Mamo, przyslij mi trochę słodyczy od Zaleskiego, bo ja tu nie mam co jeść“.

Większym przewinieniem było samowolne opuszczenie kolonii, zwykle brama była strzeżona, za co można było wylecieć i odjechać do domu, co więcej, do szkoły szła notatka, co groziło obniżeniem noty z zachowania. Mówiło się: „Ja ci chłopce obniżę obyczaje“.

Kontakty z dziewczynkami były w jadalni – same wspólne zabawy były rzadkie, po prostu przy tak napiętym programie wypoczynkowym, leczniczym i turystycznym nie było na nie czasu. Ale nie było drutów

kolczastych i młodzież się nieoficjalnie spotykała. Ów zapomniany poeta „udokumentował“ za częste kontakty jednego ze starszych chłopaków ze stroną żeńską. Nie wiem, dlaczego nosił on przydomek „Nygus“, tak z lwowska mówiło się „Nygus“, a ponieważ było to tuż po wojnie włosko – abisyńskiej, to wyszło dość aktualnie jak na owe czasy:

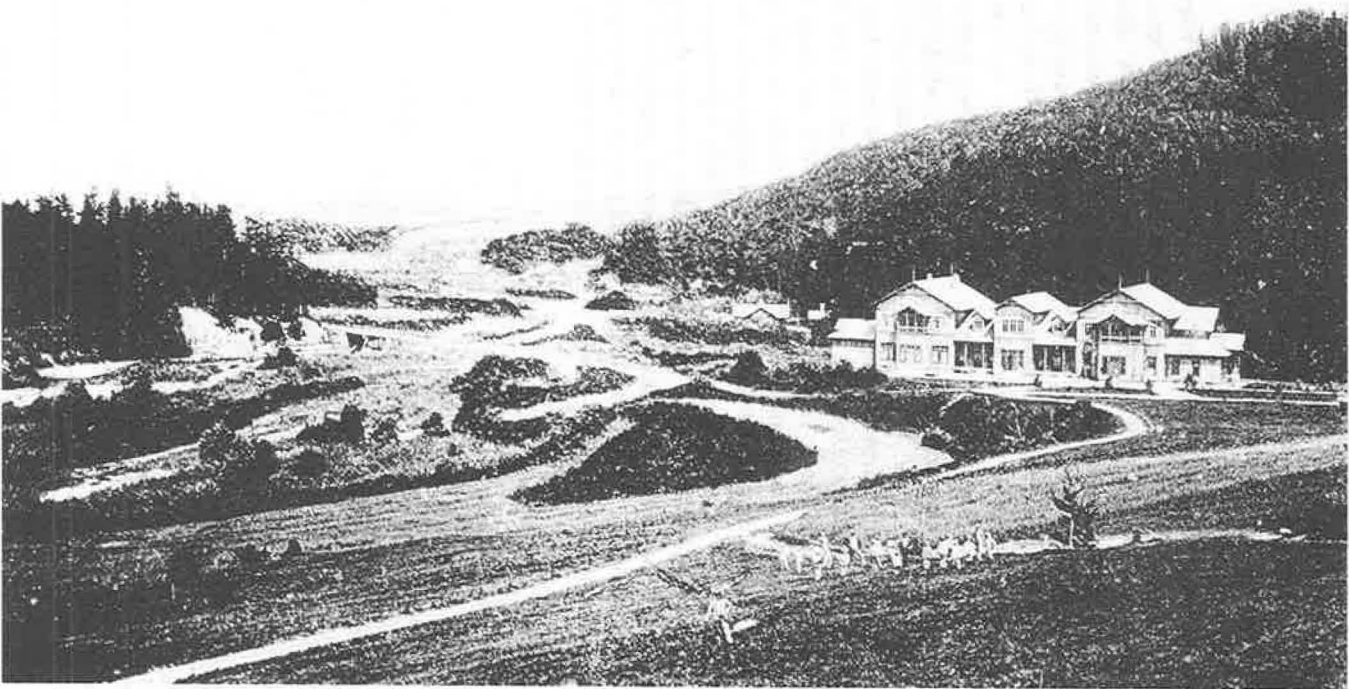
*„Na kolonii rymanowskiej
Po zwycięstwie armii włoskiej
Ujrzełszy wnet Nygusa
jak do dziewcząt dawał susa.“*

Niezależnie od poezji zagrożono mu odesłaniem do domu i „obyczajami“, ale pozostał z nami do końca turnusu.

Niech te skromne wspomnienia będą pewnym hołdem oddanym dość sporej grupie dziś już bezmiejscowych organizatorów, działaczy społecznych, ludzi dobrej woli z przedwojennego Lwowa, którzy nie żalowali nie tylko własnego czasu, ale czasem i środków, ażeby choć części młodzieży zapewnić zarówno wypoczynek, jak i leczenie w uzdrowisku Rymanów–Zdrój. Owa kolonijna piosenka („Witaj, witaj miły Panie“) zrodziła się z pewnej wdzięczności, nie tylko samej młodzieży, ale i wychowawców, którzy mogli sobie w czasie ferii trochę zarobić.

Owe odzyskane siły bardzo przydały się w czasie ponurych dni okupacji sowieckiej i niemieckiej we Lwowie, kiedy to nie było mowy o żadnych wyjazdach, a wegetowało się o głodowych przydziałach, rzadko kiedy wzmocnianych czymś dodatkowym.

Piszący te słowa po z górą pół wieku zachował we wdzięcznej pamięci ów Rymanów, może o mało słonecznej aurze, ale o pogodnej atmosferze, z tak mało słonecznego dzieciństwa.



Rymanów, Zdrój.

Widok ogólny.

Polskie wydawnictwo kart widokowych. Nakł. Moszkowicza w Rymanowie.